

U PROGU

Czasopismo młodzieży szkół średnich ziemi łomżyńskiej.

ŁOMŻA — GRAJEWO — KOLNO — OSTROŁĘKA — OSTRÓW — ZAMBRÓW.

Adres Redakcji i Administracji: Ł O M Ź A, GIMNAZJUM PAŃSTWOWE ŻEŃSKIE.

A. Grapowówna (Łomża G. Ż. M. K.)

DO CZYNU, MŁODZI!

*Młodość, mistrzu, jest rzeźbiarką,
Co wykutwa żywot cały,
Choć przemija sama szparko,
Cios jej dłuta wiecznotrwały.*

Z. Krasiński.

Szkola dzisiejsza daje nam przede wszystkim podstawy ogólnego wykształcenia, wyrabia zamilowanie w tym, lub owym kierunku, dając tem samem wskazówki co do wyboru zawodu na dalsze życie. Nie wszystko to jednak.

Można być człowiekiem bardzo wykształconym, posiadać olbrzymi zasób wiedzy, a jednak być w społeczeństwie zerem, nie umiając ani brać udziału czynnego w życiu społecznym, ani nie dając nic z siebie innym.

Tego to wyrobienia społecznego brak jest ogromnej większości w społeczeństwie i dlatego całe życie idzie ogromnie kulawo. Trzeba więc umieć określić swoje stanowisko — w społeczeństwie i swój stosunek do niego, jak również umieć pracować pożytecznie dla siebie i dla innych. I o tem jednak myśli szkoła, dając nam rozległe

pole do działania na swym terenie. Tylko tu już jest ogromna różnica między nauką, a pracą społeczną w szkole. Uczyć się musi każdy, czy chce, czy nie chce, bo czuje nad sobą kontrolę nauczyciela i groźbę dwójki, a nawet przesiadywania w klasie drugi rok. Pracuje zaś społecznie tylko ten, kto chce. A że praca nie jest zawsze miła i łatwa, że trzeba coś dać z siebie, a czasu to zawsze poświęcić sporo, więc większość woli spokojnie usuwać się od wszelkich urzędów i prac, mówiąc: „Zawsze znajdzie się ktoś lepszy odemnie; dlaczegóż ja mam to robić”. I rzeczywiście zawsze znajdzie się „ktoś lepszy”, co całą sprawę weźmie na swoje barki, ale ilu takich „lepszych” jest? Bezwarunkowo, że gdy reszta śpi sobie słodko w błogiem leniuchowaniu, a oni pracują za dziesięciu, to i wyrabiają się ogromnie, nabierają doświadczenia, energii, odwagi cywilnej i z chwilą wyjścia z murów szkolnych w świat są zupełnie do życia przygotowani. Dobrze, tym będzie najlepiej, ale co z resztą? Przecież przez takie usuwanie się od życia społecznego

szkoły, czy to przez proste lenistwo do pracy, co się najczęściej zdarza, czy to przez zbytnią skromność i nieśmiałość, tracimy całą możność wykształcenia się społecznie. I jakież rezultaty? Co do nas należy, umiemy wykonać dobrze, bo ktoś nami zawsze w tem kieruje, ale coś z siebie dać, zainicjować cośkolwiek, to już ani rusz.

A jak kto obojętnie odnosi się do spraw tego małego światka, jakim jest szkoła, to już tembardziej nie interesuje się całym ogromem życia współczesnego.

Przez lenistwo, zwykle tylko lenistwo poza lekcjami, które są koniecznością, nie poświęcamy ani chwili czasu na studia naukowe, nie objęte programem szkoły. Przecież szkoła daje nam tylko zarysy, ramy jakby wiedzy, a my już sami mamy je wypełniać.

St. Dolwa-Skwiot (Ostrołęka G.kr.St.L.).

WOJNA, a SPORT.

Starożytne przysłowie mówi: Si vis pacem, para bellum. Chcesz mieć pokój, bądź gotów do wojny!

Nikomu nie zależy tak na pokoju, jak nam, Polakom. I wszelkimi siłami dążymy do utrzymania go, lecz biada nam, jeżeli rozbrojeni moralnie, damy się zaskoczyć nieprzyjacielowi. Musimy właśnie wciąż, bezustannie myśleć o obronie krajowej, gdyż ewentualność napaści ze strony wrogów naszych istnieje.

A wojna przyszła będzie wymagała olbrzymich ofiar ze strony społeczeństwa i narodu, poświęcenia i samozaparcia się bojowników. Lecz główną rolę będzie odgrywał w niej człowiek-żołnierz. A nie ta strona zwycięży, która będzie posiadała tylko lepsze środki techniczne walki — lecz ta, która będzie miała niezłomną wolę zwyciężenia, hart i moc ducha, podniesione do najwyższych szczytów osiągalności. I nie łudźmy się, „że zwycięży w wojnie ten, co ma silniejsze nerwy” — jak powiedział przed laty, obecny prezydent Rzeszy Hindenburg. Niewątpliwie jest to jeden z czynników główniejszych czasu wojny, lecz nie ostateczny i nie jedyny.

A jak to przykro, gdy po wyjściu w świat patrzymy na wszystko, jakbyśmy spadli conajmniej z księżycy i o wszystkim poraz pierwszy słyszeli. Czas stracony nie wróci; lata szkolne przeminą i później już niemożliwym będzie nadrobić to, nad czem się nie chciało wpięć popracować. Przychodzą refleksje i żal, że się całe życie nie ułożyło inaczej, choć kształtowało się wtedy, gdy serca i umysły najgoręcej czuły i zapał do pracy był największy. Do pracy więc, porzućmy wygodne łożo lenistwa i gnuśności, bierzmy czynny i gorący udział w życiu młodych, bo tylko gdy będzie nas gromada silna, odważna i doświadczona, w przyszłym wieku siły i dojrzałości męskiej coś zdziałać będziemy mogli.

Zachodzi pytanie, jakie my młodzi powinniśmy zająć stanowisko, by być najbardziej przygotowanymi i odpornymi na trudy i niewygody wojenne? O innych potrzebach wojny myślą odpowiednie władze. Lecz co my młodzi, możemy zrobić dla obrony kraju w razie potrzeby? Że wszyscy ofiarnie pójdą na bój, to pewna; że każdy z bronią w ręku będzie walczył o niepodległość naszej ziemi i ochotnie odda za nią życie, też prawda. Ale trzeba będzie życie młode jaknajdrożej sprzedać, nie zginać marnie. A iluż to ginie nie od kuli, lecz z trudów i niewygód!

My możemy, nietylko możemy, ale powinniśmy się stać hartownymi na znoje. To naszym obowiązkiem wobec kraju.

Środków mamy wiele na osiągnięcie tego celu, między innymi — sport.

Sport, pod każdą jego postacią, a zwłaszcza lekka atletyka. Rozwija on nietylko siły fizyczne, tak niezbędne w czasie wojny, ale i zalety duchowe, a szczególnie wolę i wytrwałość.

Wola i wytrwałość niezbędne są każdemu człowiekowi do intensywnej i owocnej pracy, a nieodzowne na froncie w obliczu nieprzyjaciela.

Kto zdobędzie się na tak heroiczny czyn, by pod gradem kul ognia zaporowego, w ciągłym huku rozrywających się pocisków i bomb, w ustawicznym krzyku i rozzierających jękach rannych

i konających, wobec poległych druhów i towarzyszy broni, usiedzieć w rowie strzeleckim? Nie tylko usiedzieć, ale posuwać się naprzód, piędź za piędzią, i kryć się w ziemi jak kret.

Kto wytrwa? Nikt. Jeny ten, kogo w młodości nasyciła chęć silnej woli, nakarmiło piękno wytrwania, przepoiła do cna miłość wolności i kraju ojczystego.

Sam zapał i ochota do walki nie wystarczą, spowszednieją, jak chleb żołnierski, a nawet zbraknie ich, jak nieraz chleba.

Ciągłe marsze, przerzucanie oddziałów, ustawiczne utarczki z wrogiem wymagają niezwykłego wyężenia sił fizycznych, wobec których entuzjazm błędnie i upada, a z nim chęć do walki.

Dość wspomnieć rok 1920, kiedy-to młodzież szkolna gromadnie poszła na zew ojczyzny. Ile jej zginęło z wycieńczenia ciała, ile padło od chorób, ile złamało się pod ciężarem niewygód! Nie była do tego przygotowana. Tak. Przeto my — doświadczeni ich przykładem — musimy teraz sposobić się do trudów, by dnia niewiedomego, gdy przemoc wraza będzie chciała narzucić nam swe jarzmo, stanąć godnie na polu chwały w ojczystej potrzebie. Tylko siłą odeprzemy siłę! Mocą ducha i potęgą techniki!

Należy nam pamiętać o tem, by sport, który „w Polsce znajduje się zaledwie in statu nascendi”, nie był tylko czczeniem i bezmyślnym naśladowaniem innych ludów i narodów, by nie był modną igraszką na modłę zagraniczną. Trzeba mu nadać cel praktyczny i wzniosły zarazem. Uprawianie sportu tylko dla sportu „przyje się”, a nawet minie ze swym celem.

Uważam, że dążenie do rekordów, nie jest dla nas koniecznością. Niech jednostki tylko zbierają palmy pierwszeństwa i ubiegają się o nie. My — ogół młodzieży — powinniśmy dążyć tylko do osiągnięcia sprawności fizycznej, do wszechstronnego wyrobienia w sobie mocy ducha i ciała. A wtedy możemy śmiało stawić czoło — zakusom naszych wrogów.

J. Kłoskowska (Łomża G.Ż.M.K.).

CINIOM KASPROWICZA.

Na starym cmentarzu w Zakopanem przybyła mogiła... I cicho szeptał podhalański wiatr... „kopcie samotny grób, pośród krwawników kopcie i dziewanny, u stóp próchniejącego krzyża, gdzie w południowy skwar bratnie się schodzą duchy,

tłum zapomnianych mar, i wśród spalonej usiadłszy murawy jęk wyrzucają głuchy z skrwawionych łon”...

Kopcie samotny grób dla człowieka, którego życie było jedną wielką pieśnią uśmierającą ból i rozpacz ludzką — pieśnią, głoszącą bunt przeciw złu, i cichą wiarę ku temu Wielkiemu, Świętemu, Mocnemu Bogu — Kasprowicz to jeden z niewielu, który duszę swą zakuł w żelazną zbroję woli; i tą wielką, nieugiętą wolą zdobywał szczęście dla drugich — spychał z ich drogi rozpacz i zwątpienie.

Jednak, zanim do takiej mocy doszedł, często się załamywał duch poety, gdy widział bezmiar nieszczęść i nie rozumiał Wielkiego Boga i wówczas z ust jego wyrwała się skarga:

„Jestem!

Jestem i płaczę... biję skrzydłami, jak ptak ten ranny, jak ptak ten nocny, któremu okiem kazano skrwawionem patrzeć w blask słońca...”

A to groźne, tajemnicze słońce, ileż to razy chowało się za chmury i pozostawiało ziemię w ciemnościach na łasce szatana.

Więc duch Kasprowicza, który żył myślą: dla braci, wyrwał się ku tej niszczycielskiej potędze i błagał ją o litość nad ziemią.

... „nad ziemią, gdzie ból i rozpacz drzemią, gdzie ból i rozpacz dzwonem się rozlega i w strasznej pieśni brzmi”...

Bo Kasprowicz, jak silny dąb, wrósł korzeniami w glebę ojczystą i z niej ciągnął soki odżywcze.

I dlatego, że źródłem twórczości poety jest ziemia — otwierają się przed nim dwie drogi: jedna — wiodąca ku wyższym regjanom ducha, wskazana świadomością społeczną, droga pościgu za ideałem zbiorowym, za doskonałością i tajemnicą końca, i druga — pogrążanie się w nicości — nirwana. Ziemia, z której wyrasta nęci go tęsknotą do drogi powrotnej do tego miejsca, gdzie „On (Bóg) był i myśmy byli, zanim się stało to, co nas pożera, gdzie miłość i spokój nie były ogniem trawiącym, ani zabójczą tęsknicą, ani kamiennym, ślepem przerażeniem...”

I w chwilach wieczornych hymnów duszy ludzkiej, kiedy poeta widzi ogrom grzechów i wad, i czuje, że jest niezdolny ni sobie zapewnić szczęścia ni drugim, Kasprowicz pragnie, by się jego dzień zakończył — by krwawa zorza przestała się żagwić i by mógł spocząć w cichej, samotnej mogile...

Lecz potem świadomość społeczno-narodowa każe mu dalej iść po tej prometejskiej drodze poświęcenia i walki.

W tem rozkołysaniu się ducha poety, w tej wielkiej jego psychicznej tęsknocie do ziemi leży olbrzymia moc. Moc naszych praocjów, którzy wiarą swą i ukochaniem rodzinnej ziemi byli niezłomni! Ten autochtonizm Kasprowicza może zdziwić cudzoziemca, lecz nigdy Polaka. Kasprowicz, syn ludu, syn ziemi, jak go nazywa Przybyszewski, po chłopsku wparł się sercem w ojczyste zagony.

W dalszym zaś ciągu swego rozwoju duchowego nie rozróżniał warstw — przed oczyma jego stała synteza człowieka z wszystkimi jego grzechami i chwilami pokornej, dziecięcej wiary, cierpieniem i radością.

Dla tej syntezy człowieka, a nie dla chłopa, lub pana, pracowała wola Kasprowicza.

Jest to nietylko bardzo oryginalny pierwiastek w twórczości poety, lecz według mnie i bardzo cenny.

Na wyrobienie w sobie takiego zapatrywania społecznego nie każdy zdobyć się potrafi.

I jeżeli kto, to właśnie my, młodzież, którzy jesteśmy tak skłonni przyswajać sobie ideały wielkie i święte, my, którzy chcemy zepchnąć świat na nowe tory, winniśmy kształcić swe dusze na poezji Kasprowicza.

Nam niewolno nigdy zapomnieć o tej wielkiej, cichej mogile, gdzie spoczywa ten,

„który powstał z tej ziemi,
który miał w sobie jej trud,
jej tajemniczy jęk,
idący z głębin przestworzy
w południa senny skwar.

Ten, który zabrał z jej chat

zalniki też

i czekał, kiedy przyjdzie wybawienia kres
i z jej szumiących zbóż
zgarbiał ten dziwnie przejmujący szum
i w swoich dum
treść go zamykał i w świat,
jak wielką świętość niósł”

Ignacy Dworakowski (Łomża G.M.X.P.S.)

DUALIZM CHARAKTERU

(studjum psychiczne).

Życie człowieka jest właściwie stopniowem uświadamianiem się jego władz duchowych. Zależnie od tego w jakim środowisku rozwój ten

ma miejsce, w jakiej powiedzmy atmosferze krystalizują się początkowe przebliski świadomości ludzkiej, różne bywają typy o różnem uformowaniu ducha. Zasadniczo jednak każdy charakter da się rozłożyć na dwa czynniki etyczne: czynnik zła i czynnik dobra.

W rzeczywistości podział ten opiera się na szerszej kwalifikacji, wyodrębnia więcej cech i ściślejsze ustanawia pomiędzy nimi granice, chcąc atoli wykryć wszystkie najłżejsze nawet ich odcienia, należałoby puścić się na niepewne tory filozoficznej rozprawy, a to już przekracza granice moich skromnych wiadomości.

Jak już zaznaczyłem, charakter każdego człowieka leży w sferze działania dwóch z natury rzeczy wrogich sobie sił. Jednej dodatniej, energia której i impuls wytwarzają w duszy naturalną dążność do **N a j w y z s z e g o D o b r a**, drugiej opartej bezprzecznie na niskich instynktach człowieka i wskazującej mu wprawdzie nie szlachetne, lecz zato bliskie i łatwo dające się realizować cele.

Siły te nie działają mechanicznie i ślepo. Każda z nich ma swoją kierowniczą „opatrnościową” rękę, która potrafi zawsze odpowiednio do potrzeby nawrócić ster i pchnąć człowieka w kierunku swoich wymogów.

Oczywiście, że rolę tych kierowniczych organów spełniają ludzkie pożądania i chęci.

One wysuwają się ciągle na pierwszy plan, budzą uśpioną w duszy energję i mniejszym, lub większym rozpędem ruszają z miejsca, wlokąc za sobą obojętną ludzką jednostkę.

Wyglądałoby stąd, że w życiu człowieka dominujące znaczenie mają jego chęci, tak jednak nie jest. Te ostatnie bowiem również ulegają pewnym czynnikom umysłowym, w pierwszym zaś rzędzie świadomości i woli.

Świadomość oprócz poznania mieści w sobie indywidualny, lub przyjęty od kogoś sąd, ten zaś pozostaje w ścisłym współdziałaniu z wolą.

Proces więc wywołania czynu polega na tem, że zrodzony z chęci zamiar błyskawicznie przenika do świadomości, stamtąd zaś, albo dostaje się w kompetencję woli, albo przenosi się do ciemnych mroków zapomnienia.

Wola wprowadza w czyn zarówno dobre jak i złe zamiary, odpowiednio zaś do tego staje się człowiek, albo pożytecznym, albo zgoła szkodliwym. Szkodliwym, bo często zamiast harmonijnego współdziałania z innymi w walce o byt, staje w poprzek i tamuje postęp czyniąc krzywdę nietylko sobie, ale i tysiącom innych pracowników. Jakże

pobudki skłaniają go do tego, trudno stanowczo orzec. W wielu wypadkach egoizm, chęć rozgłosu, sławy, najczęściej jednak działają tu drobne niedostrzegalne prawie, zato bardzo liczne ułomności charakteru, wynikające ze źle skryształizowanej świadomości i braku zdecydowanego sądu. Istota zła znajduje na tych szczytach i brakach etycznych swój punkt oparcia i nietylko z powodzeniem przeciwstawia się działaniu dobra, ale nawet powoli tłumi je i zagłusza.

Pożytecznym staje się człowiek wtedy, gdy w charakterze jego przeważa strona dobra, gdy świadomość mocą trzeźwego, zdrowego sądu gatunkuje powstające chęci, oddając do wykonania woli te tylko zamiary, które mogą się złożyć na wytworzenie szlachetnego czynu.

Ponieważ charakteru ściśle jednolitego niema, więc przewaga w człowieku dobrej, lub złej strony, nie jest tak fundamentalnie ugruntowana jakby to wyglądało na pozór. Owszem zdarza się, że zawojowane przez wrogą siłę lepsze czynniki charakteru, korzystając ze sprzyjających okoliczności, zrzucają z siebie przewagę zła i nanowo odradzają człowieka.

Bywa też, że jednostka bardzo szlachetna i prawa z niewiadomych przyczyn popada nagle w błędy i wykoleja się.

Zło wtedy święci triumf.

Są wreszcie takie charaktery, w których, ani jedna, ani druga z wymienionych sił niema stanowczej przewagi. Człowiek o takim zabarwieniu duchowem jest typem niezdecydowanej wartości, zaś działalność jego odpowiada zwykle warunkom w jakich czyn został dokonany.

Wartoby się teraz zastanowić, co i w jakim stopniu przyczynia się do uruchomienia punktu, który charakter człowieka etycznie rozdwa. Czy grają tu rolę czynniki zewnętrzne, od naszych dyspozycji psychicznych niezależne, czy też kwestję tę rozstrzyga pełna świadomość moralna i związane z nią procesy intelektualne.

W pierwszym wypadku mielibyśmy do czynienia z wychowaniem t. j. planowem oddziaływaniem pewnych jednostek na umysły młodszej generacji, w drugim stwierdzilibyśmy fakt indywidualnego rozwoju, wywołanego świadomem dążeniem jednostki do określonego celu.

Która z powyższych przyczyn ma swoją rację?

Odpowiedź łatwa. Zarówno wychowanie, jak i wewnętrzne samopoczucie człowieka wyciskają na jego charakterze niezatarte piętno swoich

wpływów, a nawet w niektórych wypadkach całkowicie go kształtują. Żeby jednak charakter miał formę skończoną, a w dodatku szlachetną, czystą treść, potrzeba zgodnego współdziałania czynników wychowawczych z wewnętrzną pracą ducha. Człowiek sam z własnego poczucia dążyć powinien do moralnej doskonałości, gdyż w przeciwnym razie żadne nawet najstaranniejsze wychowanie nie zrobi zeń pożytecznej dla społeczeństwa jednostki.

Marja Brzósówna (Łomża G.Ż.M.K.).

CO NAS OBCHODZI?

Jeżeli porównamy położenie kobiety w dobie dzisiejszej i kiedyś, to zauważymy kolosalną różnicę. Do bardzo niedawna kobietę uważano za istotę pod każdym względem niższą od mężczyzny, a nawet więcej, bo w wiekach średnich zastanawiano się nad tem, czy kobieta jest człowiekiem. W ostatnich czasach stosunki się zmieniły. Zmieniło się również stanowisko kobiety. Uzyskała ona równe prawa z mężczyzną, może tak samo jak i ten stwarzać sobie warunki bytu, a nie czekać jakie wyznaczy jej los. Jednak niektórzy, oczywiście mężczyźni, i dzisiaj uważają kobietę za niższą od siebie, za niegodną równych praw. Przyznać trzeba, że same kobiety bardzo często nie starają się korzystać z nowego stanu rzeczy, zaniebują to, co otrzymały, nie starając się zdobywać nowych praw. Czas już porzucić ten przesąd, że tylko rodzaj męski zdolny jest pracować w społeczeństwie. Ostatnie przykłady wykazały, że kobiety mogą zajmować takie same stanowiska, co i mężczyźni i praca ich bywa może niekiedy jeszcze bardziej uczciwa. A, że dotąd kobietę uważano za istotę naprawdę niższą od mężczyzny, to nie dowodzi bynajmniej, aby ta nie mogła być mu równą. Takie stanowisko wytworzyło dotychczasowe jej wychowanie. Dziewczęta wychowywane w domu, nie zwracały dostatecznej uwagi na rozwój wszystkich władz umysłowych. Nic dziwnego, że kobieta otrzymawszy tak jednostronne wychowanie, nie była zdolną sama zaradzić sobie w życiu, mimowoli więc stawała się zupełnie zależną od mężczyzny, a gdy jej tego zabrakło, narażoną była na bardzo przykre sytuacje, bo nieprzygotowana do walki z życiem stawała się często ofiarą losu. I tak przez długie, długie wieki, zatrzymywana w swym rozwoju była dzieckiem, nie wychodzącem poza obręb ciasnego

kółka domowego. Teraz sposób wychowania dziewcząt zmieniono zupełnie. Mogą one zdobywać naukę w tych samych dziedzinach wiedzy i umiejętności, co i chłopcy, a przez to mogą kształcić i rozwijać wszechstronnie swój umysł. Odmienny tryb wychowania zmienia oczywiście charakter kobiety. Staje się ona samodzielną, ma więcej w sobie energii, co zdobywa szczególnie przez wychowanie fizyczne, na które teraz zwrócono baczną uwagę. Spotyka się jednak z taką opinią, że terazniejsze kobiety ztracają to, co wszyscy najbardziej w nich cenią — to jest kobiecość. Co do tego, to sądzę, że rozwój umysłowy nie sprzeciwia się bynajmniej zachowaniu kobiecości. Czyż nie można w psychice wyższej połączyć jedno z drugim. Kobieta zawsze zachowa swoiste cechy charakteru, strona uczuciowa pozostanie wyżej rozwinięta, nad rozsądek i twarde tryby logiki, bo to związane jest z jej naturą. A na polu umysłowym może również kobieta dokazać wiele. Jako przykład może posłużyć Marja Cürrie-Skłodowska, która pokazała światu, że te słabe istoty mają umysł zdolny nawet do odkryć i wynalazków na tem polu, na którym, jakby się z szeregu przykładów zdawać mogło, jest zdolny działać tylko umysł męski.

Przyznać trzeba, że nie wszystkie kobiety pojmują swoje zadanie w dzisiejszych czasach. Mylą się bardzo myśląc, że emancypacja polega na tem tylko, aby zewnętrznie stać się podobną do mężczyzny czyto przez noszenie lasek, lub palenie papierosów, a nawet naśladowanie ruchów męskich. Nie wszystko, co pasuje mężczyźnie przystoi i kobiecie. Nasze zadanie powinnyśmy rozumieć rozleglej; powinnyśmy się starać nie tylko utrzymać zdobyte prawa, aby pokazać, żeśmy już dorosły do tego stopnia, aby samem zdobywać sobie warunki bytu. Bo trzeba wiedzieć, że nie wszystkim dogadza to, że kobieta wywalczyła sobie jakie-takie prawa, że ma możliwość pracować i sama radzić sobie w życiu. Daje się często słyszeć nieprzychylnie szemranie, skierowane przeciwko kobietom, pracującym w urzędach lub szkołach. Trzeba już chyba raz zrozumieć, że okoliczności tak się zmieniły, że ona musi w wielu wypadkach radzić sobie, a nawet więcej, bo musi pracować na utrzymanie całej rodziny. Więc jakże spełni ona to zadanie, jeżeli nie znajdzie odpowiednich środków do pracy. Owszem zgadzam się z tem, niech nie pracują te, które nie potrzebują tą drogą zdobywać sobie środków utrzymania, które rzeczywiście w domu mają takie

warunki, że nie potrzebują się troszczyć o utrzymanie i mogą w ten sposób nie zrywać z tem, co je łączyło przez szereg lat pobytu w szkole. Ale dlaczego nie ma pracować poza domem ta, która, albo musi dostarczyć środków utrzymania sobie, lub rodzinie, albo, która specjalnie chce, bo nie pociąga ją życie rodzinne, lub nawet nie ma możliwości zajmowania się rodziną. Przecież wiele znajdzie się takich, które przez kilkanaście lat pobytu w szkole zapomniały o tem, jak spełniać obowiązki domowe, a wołają pracować poza domem, tylko ta praca pociąga je, to czyż nie lepiej skorzysta społeczeństwo, jeżeli one poświęcą się tego rodzaju zajęciu, do jakiego czują zamiłowanie. Jakież byłyby z nich gospodynie! jeżeli nie pociągałyby je zajęcia związane z własnym kółkiem domowym. No dobrze, przyjmijmy to założenie, że zadaniem kobiety jest pilnowanie rodziny i zajęcia z obowiązkami domowymi związane. W takim razie, w jakim celu istnieją żeńskie szkoły średnie i wyższe, pocóż uczyć się tak długo, ażeby zostać tylko dobrą gospodynią. Takie wykształcenie zupełnie się nie nadaje do tego rodzaju umiejętności. Kobieta, kończąca zakłady wyższe, ma szersze aspiracje i jeżeli nie ma zajęć poza domem, to musi jednak mieć styczność z tem wszystkim, co się dzieje w świecie. Jeżeli nie może jej ktoś dostarczyć tych przyjemności, to musi zdobywać je sama, a w jakim sposób, jeżeli nie przez własną pracę. Już samo istnienie szkół średnich i wyższych stwierdza, że kobieta powinna też spełniać różne funkcje w społeczeństwie, związane bądź z życiem politycznym, bądź z nauczaniem. Występowanie przeciw temu, uważam, że nie ma racji bytu. Być może, że to niezadowolenie z pracy kobiet płynie z tego względu, że niekiedy pracują te, których okoliczności nie zmuszają, a które odbierają możliwość pracy istotnie potrzebującym. Takie niezadowolenie może być słuszne. W dzisiejszych czasach musimy się liczyć z tem, że państwo nie może wszystkim dostarczyć zajęcia, nie mając czem za nie wynagrodzić. Nie powinno być nadużycia, jedni nie powinni pozbawiać zajęcia drugich.

Mnie chodziło o wykazanie, że krytykowanie zajęcia kobiet i występowanie wogóle przeciw pracy tych nie ma słusznych podstaw, bo teraz tak się ułożyły warunki w świecie, że kobiety muszą same bardzo często radzić sobie w życiu i z góry muszą być przygotowane na wszelkie ewentualności, ażeby nie stanąć bezradnie wobec przeciwności losu.

W. Kłoskowska (Łomża G.Ż.M.K.)

FUJARKA PASTUSZA (wspomnienia z wakacji).

Wybieramy się w góry na cały dzień. Bierzymy zapasy żywności do plecaków — laski w ręce i śmiało i wesoło wyruszamy w drogę. Pogoda nam dopisuje — jest ciepło i jasno. Rozmawiamy sobie, ot tak, jak to zwykle w towarzystwie o tem i o owem, a właściwie o niczem. Ze śmiechem wspinamy się na trudniejsze i mniej dostępne miejsca. Słońce przygrzewa — robi się gorąco — rozmowa się urywa. Droga zaczyna się stawać coraz bardziej nużąca. Zmęczenie fizyczne przytłumia wszystko inne. Idzie się teraz z jedną myślą i pragnieniem, aby tylko dojść na szczyt. Ta myśl zdaje się podsycać energję i dodawać sił. Idę i ja z innymi — ostre kamienie na drodze — na które przedtem nie zwracałam uwagi teraz zaczynają mnie razić — słońce zbyt mocno dopieka — brak mi tchu.

Prowadzeni przez huculów wspinamy się coraz wyżej aż na szczyt. Nareszcie jesteśmy na miejscu!

Jednym energiczniejszym ruchem uwalniam się od plecaka i rzucam się na miękkie, wilgotne mech, okrywający skały. Zakładam ręce pod głowę — oh! wypocząć . . . Znajduję się na wysokiej, urwistej skale tuż nad samym Czeremoszem. Tam w głębi pienne jego łono burzy się i walczy, rwie i szarpie zębate skały, napróżno rzucając swój wysiłek i trud w twarz zimnym głazom. W dali majaczej z początku zielone, potem granatowe, a wreszcie sinawe łańcuchy gór. Chmurki białe pływają po niebie, zaczepiają się o szczyty gór, tłuką się przez pewien czas między niemi, gnane swawolnym wiatrem, wreszcie toną w błękicie . . . Płuca oddychają czystym, górskim powietrzem.

Żadna myśl nie tkwi w mej głowie. Leżę swobodnie, wiedząc tylko to jedno, że jest mi jakoś dziwnie dobrze, łagodnie, że chciałabym tak leżeć całemi godzinami i mieć w sobie to poczucie harmonji i piękna, które teraz we mnie gości.

Czuje, że mogłabym się teraz wyrzec wszystkiego, nawet najbardziej ukochanego w życiu — mogłabym zapomnieć o obowiązkach, pracy, wyrzec się szczęścia, przyszłego życia dla tej jednej chwili leniwego wypoczynku.

Oh! zapomnieć! zapomnieć o wszystkim, co sprowadza za sobą wysiłek myślowy . . .

Nurzam się w tej atmosferze piękna, które mi sprawia ulgę i zwolna wyrzekam się swoich ideałów, zamiłowań — myśli — wyrzekam się swego istnienia — swego człowieczeństwa dla tej jednej chwili oderwania się od rzeczywistości. Patrząc w niebo, marzę, abym mogła stać się takim lekkim, beztroskim obłokiem, fantazją wiatru pędzonym po świecie . . .

I gdzieś z wyżyn, z obłoków, kołysanych wiatrem, spływa ku mnie pieśń. — Pieśń zrazu cicha, nieśmiała, a dziwnie kusząca — pociągająca ku sobie jakimś urokiem niewyznanej prawdy.

To wiatr z błękitów gna i gra w fujarce huculskiej, w fujarce pastuszej.

Gra chwile czaru i sławy — ukazuje duszy mojej ideały życia — zachęca do pracy do czynu — budzi we mnie tysiące pytań i refleksji — odsłania przyszłość — kusi — pociąga . . . Pieśń to się urywa, to potężnieje — staje się radosna, ufna sama w siebie, — śmiała. Nie! nie mogę tak dłużej leżeć. Ta pieśń szarpie mi nerwy, zrywa spokój, który mię już całkowicie ośwładnął. Nie chcę się jej poddać, tak mi było dobrze w tem zapomnieniu o rzeczywistości. Ucieknę od niej!! Zaczynam schodzić prędko, prędko w dół nad Czeremosz.

A piosnka zmienia się i najwyraźniej śmieje się ze mnie. Drwi głośno, szydzi, wybucha całą kaskadą długo tłumionego, ironicznego śmiechu.

Nie! to tylko poświst wiatru wypadł ze szczelin gór i leci . . . i gra w fujarce pastuszej..

Zadaje pytania bolesne, drażniące — szarpie tym swoim śmiechem. Już nie uciekam — staję nad rzeką i patrzę na jej wieczny bunt przeciwko przemocy skał. Patrę i widzę nadaremność wysiłku, a zarazem tę nieubłaganą wytrwałość. Ciągłe się burzy i pieni i wspina się, a potem, jakby pokonana, ścicha i opada, lecz nie godzi się ze swoim losem, lecz zebrawszy siły rzuca się z wściekłością, mocą i szaleństwem. Obryzguje pianą, plwa — grozi — i szłocha nad własną niedolą.

Z gór, z wysoka, doleciał głos fujarki pastuszej.

To wiatr go przyniósł i wzmocnił szum przelewającej się nieustannie rzeki. W głuchym tonie melodji, brzmiącej niepokojem, słyszałam wciąż powtarzające się to samo pytanie: „Czemże jesteś, o życie?” Czy taką nieczystą walką ze złem i przemocą o wywalczenie chociaż kawałka światła?

Odchodziłam powoli, ze spuszczoną głową, w której kołatało się tysiące pytań i zagadnień.

Rozpalony mózg dręczyło zwłaszcza jedno. I rzuciłam to pytanie górcom: „Czemże jesteś, o życie?”
Gdzieś z wysoka, z daleka spłynęła ku mnie pieśń

Pieśń zrazu głośna, potem coraz cichsza, milknąca na zawsze. To wiatr leci po górach i gra . . .

Gra echem w rozpadlinach skalnych tony pełne niewysłowionej tęsknoty za lepszym jutrem.

T. Kornacki (Ostrołęka G.M.St.L.)

Nowy pamiętnik cyklisty.

(Dalszy ciąg).

Szłochało niebo dzień jeden, szłochało drugi, zlewając przesyconą już ziemię bądźto drobnym, takim polskim „kapuśniaczkiem”, bądźto nieustannymi potokami deszczu. Wiatr zawodził tąsknie a załóżnie, pędząc z zachodu na wschód nieprzerwane stada rozbałwanionych ołowianego koloru chmur. Słowem, rzeczby można, że cała natura uknuła spisek przeciwko mnie niewiele znaczącemu wędrowcowi, wędrowcowi—amatorowi, który, mówiąc nawiasem, miał się nienajlepiej (po „skromnym śniadaniu”) i był pełen najrozmaitszych, często najbardziej sprzecznych, a nawet czarnych myśli. Jedną z nich było: zebrać czempredzej manatki i ruszyć z prędkością niesłychaną (8—10 km. na godz.) do Kazimierza Dolnego. Tak, bijąc się z myślami, zaśnąłem.

Spałem smacznie. Marzyłem cudnie. Zbudziło mnie słońce dnia trzeciego mego pobytu w Łowiczu. Ucieszony przeto niezmiernie, zrywam się, ubieram szybko i pędzę na miasto.

Pogoda prześliczna; ani jednej chmurki na niebie. Błękit i błękit bez końca.

Pierwszym napotkanym budynkiem jest kościół Farny, zwany Kolegją, budowla okazała, utrzymana w charakterze baroku, górująca nad miastem dwoma typowo barokowymi wieżycami, a początkiem swym sięgająca wieku XI (?). Wewnątrz posiada kilkanaście o mniejszej wartości artystycznej pomników dawnych swych władców i dobroczyńców. Z Kolegją sąsiaduje kanonja z kilku ciekawymi fragmentami barokowemi.

Naprzeciw Fary, po drugiej stronie rynku, wznosi się kościół po-pijarski św. Wojciecha, świątynia niezbyt się różniąca swym skromnym barokowym wyglądem od otoczenia.

Trzecim, niezmiernie ciekawym zabytkiem przeszłości, jest kościół pod wezwaniem św.

Leonarda, w połowie drewniany, w połowie murywany, grożący obecnie upadkiem. Jest on najstarszą świątynią katolicką w Łowiczu. Wygląd teraźniejszy, barokowy, nadano mu w wieku XVII, w pierwszej połowie.

Czwartym jest kościół S. S. Bernardynek pod wezwaniem św. Elżbiety, skryty w cieniu drzew na al. Sienkiewicza i ostatnim wreszcie — kościół św. Ducha na Długiej. Oba te przybytki Boże mają również charakter polskiego baroku.

Ze świeckich budowli zasługują na uwagę domki z XVIII wieku w Nowym Rynku, oraz nowowzniesiona Szkoła Rolnicza (1925 r.) systemem pawilonowym, wzorowana na dawnych budynkach typowo polskich. Ślicznym, zaprawdę, fragmentem tego zespołu — każdy mi to przyzna — jest załączony rysunek śpichrza¹⁾, a piękniejszymi może partjami malarskimi — każdy to może sprawdzić, jadąc do Łowicza — są zmurszałe, mchem porośte, walące się w gruzy grobowce na starym cmentarzu katolickim.

By opis był całkowitym, należy wspomnieć jeszcze, że Łowicz posiada około 16 tysięcy mieszkańców, fabryki maszyn rolniczych, przyrządów tkackich, świec, nici, mydła, oraz przędzalnie i farbiarnie.

Około 3. pp. wróciłem z „obchodu” i, spakowawszy się, wyruszyłem do Skierniewic.

W drodze mniemanie moje, utworzone na podstawie piosenki ludowej:

„Miska klusek, dzban maślanki,

Oto posąg Łowiczanki”

„wzięło w łeb”. Przekonałem się ku wielkiemu swemu wewnętrznemu zadowoleniu, że urocza Łowiczanka nietylko ma jako posąg „miskę klusek” i „dzban maślanki” ale i „szmat” — kolorowych spódnic — moc i „chałupę” białą czystą i gruntu urodzajnego kawał.

W Skierniewicach stanąłem wieczorem, doznawszy bardzo gościnnego przyjęcia od dyrektora gimnazjum. Kolacja mi smakowała — byłem głodny — ale i była zaprawiona porządną dozą wstydu: nie wiedziałem bowiem — nawet w przybliżeniu! — ilu mieszkańców ma Ostrołęka.

Nazajutrz rano, dowiedziawszy się poprzednio, że w Skierniewicach nic godziwego niema do oglądania, ruszyłem w dalszą podróż. Niewielki odpoczynek zrobiłem w Rawie nad rzeką Rawką, miasteczku o 7500 mieszk. Stamtąd też pochodzi rysunek obronnej baszty, królującej jeszcze

¹⁾ Rysunek umieszczony był w numerze trzecim.

i dzisiaj nad niziną okolicą, a będącej jedyną pozostałością po zamku.

Odetchnąwszy trochę, przez Nowe Miasto i Odrzywół pośpieszyłem do Klwowa, by tam zanoć. W mieście tej, około 1000 mieszk. istniał do wielkiej wojny kościół o założeniu gotyckim (w. XV.), przerabiany później kilkakrotnie. W XVII i XVIII wieku dobudowano doń dwie, o kopulastem sklepieniu, kaplice. W czasie wojny został zburzony całkowicie, przepadły nawet 3 dzwony z w. XVII, obecnie sterczą tylko resztki wieży kwadratowej, budowanej od frontu.

Około południa dnia następnego byłem w Radomiu, starym grodzie.

Przejeżdżając przez całe prawie miasto, a nie znalazłszy w architekturze jego nic ze starożytności, zatrzymałem się tylko chwil parę, by móc pogadać z uczniami tamtejszego zakładu.

Z rozmowy tej dowiedziałem się, że Radom zamieszkuje około 62000 ludzi; że są tam odlewnie żelaza, fabryki wyrobów chemicznych, drutui gwoździ, wozów, giętych mebli, kopyt i sztyftów; że istnieją garbarnie w łonie miasta, a nawet fabryki gilz do papierosów.

Z Radomia przyjechałem przed wieczorem do Puław, rezydencji książąt Czartoryskich. Pozostałości po nich jest stosunkowo dość dużo: pałac na wyniosłym prawym brzegu Wisły, odbudowany i rozbudowany za czasów St. Augusta; „Marynki”, pałacyk letni, sąsiad wielkiego pałacu; świątynie Sybilli, aż 1831 roku przybytek pamiątek polskich; domek gotycki, zszpeczony przez wielką wojnę, skarbnice osobliwości i antyków wszelkiego pokroju, skrzętnie zbieranych przez ks. Izabellę. Budowle te wzniesione zostały prawie wszystkie za panowania St. Augusta, gdy barok i rokoko należały do przeszłości, do złego smaku, gdy w modę wszedł nowy gust, ochrzczony u nas stylem St. Augusta, a będący niczem innym, jak tylko naśladowaniem tego, co klasyczne, co proste co tchnie harmonją linii i skończonem pięknem.

Obecnie w pałacu urządzono doświadczalny instytut rolniczy.

Jerzy Korwin (Łomża G.M.X.P.S.)

BRZOZA.

Schylona smutnie ponad drogą
Samotna brzoza płacze . . . płacze . . .
Powierza niebu swe rozpacze.

Dni szczęścia wrócić się nie mogą:

Minęły już! —

Smutnaś więc brzozo, ty niebogo! . . .

Na wiatr swe włosy rozpuściła

I patrzy w pustkę jakoś smutno;

Tęsknotą dławi się okrutną.

Wspomnieniem dni, gdy szczęście pila

Ze złotych krwi,

I cudną baśń swą w słońcu śniła.

W jesiennych stoi mgieł zadumie,

Jak księżycowa nocka blada . . .

Liść jej gdzieś w pustce głusz przepada —

Jesień w mar mglistych płynie tłumnie,

Z wiedzłych róż,

Na czole swoim wieniec składa.

Nad drogą smutnie pochyłona

Samotna brzoza krwawo płacze,

Powierza niebu swe rozpacze . . .

Ze złotych liści ograbiona,

W purpurze zórz,

Wieczorem cicho kona . . . kona . . .

KACIK KOBIECY.

„Główki á la garçonne”.

„Tempus mutatur et nos mutamur” tak to brzmi dawne przysłowie łacińskie. A ileż ono zawiera prawdy we wszelkich dziedzinach, a nawet w tej, którą mam zamiar poruszyć.

Bo oto, gdy zaledwie parę lat temu, krótkowłose okazy u pici pięknej były bardzo rzadkie, to teraz jakiś szal, opanował główki kobiece. Pokolenie starsze, młodsze i najmłodsze liczy z pośród siebie wiele zwolenniczek hołdujących nowej modzie. I gdy dawno, dawno temu obcięcie włosów stanowiło poświęcenie nielada, tak mężne Kartaginki ucinały swe bujne kosy, aby pleść sznury do okrętów ich zagrożonej Ojczyzny w walce z Rzymem — teraz ileż to splotów staje się pastwą kaprysu, a następnie nozyc fryzjerskich. Naturalnie nikt tego nie uważa za bohaterstwo.

Bo po pierwsze Ojczyzna nasza nie jest zagrożona wojną, w której mogłyby się przydać włosy dobrych patriotek, po drugie . . . niewiadomo dlaczego, ale za bohaterstwo to nie uchodzi. Lecz cóż to za wielka przyjemność? Oto wraca sobie dana osoba, pozbawiona (jak to się ludzie zacoferają) największej swej ozdoby, mianowicie warkoczka często niezbyt obfitego, po trzasa dumnie podstrzyżoną czuprynką, wchodzi

do rodzinnego domu i — robi niespodziankę rodzicom. Co dalej następuje — to — nie chce wdawać się w szczegóły . . .

Dość, że dopiąwszy swego, jest zupełnie zadowolona, bo to i higienicznie i zdrowo i wygodnie.

Obecne życie samo upoważnia nas poniekąd do noszenia krótkich włosów. Powszechne dążenie kobiet do wyrobienia w sobie siły fizycznej, do sportów, czyż nie zachęcają do pozbycia się niepotrzebnego balastu na głowie?

A sylwetka kobiety — sportmenki czyż nie zyska wiele, dzięki krótkiej czuprynce?

Z WAKACJI.

W Zbójnie, o 1 $\frac{1}{2}$ godz. jazdy kolejką podmiejską harcerki miały obóz letni wypoczynkowy od 26. VI. — 26. VII.

Uczestniczkami były przeważnie dziewczęta z gimnazjum żeńskiego im. M. Konopnickiej, za wyjątkiem dwóch ze szkoły powszechnej i dwóch z Zambrowa. Obóz był wizytowany przez p. Kuratora okręgu białostockiego, p. Wajdowicza i przez p. Dyrektora gimnazjum, p. M. Sokorskiego, którzy odnieśli wrażenie zupełnie dodatnie.

Nieświetne były z początku coprawda warunki materialne, szczególnie gospodarcze, ale to wszystko, z czasem dzięki pomocy i ofiarności rodziców wyrównało się.

Przygotowując się do prób i sprawności, harcerki mile spędzały razem miesiąc. Wszystkie wolne chwile poświęcały sportom, które uprawiane gromadnie dawały dużo korzyści i przyjemności.

Zwracano też uwagę na wychowanie fizyczne dziewcząt, które początkowo z trudem, a potem coraz chętniej, przyzwyczajały się do codziennej gimnastyki rannej. Nawet dosyć ciężka praca fizyczna w „zastępach służbowych” nie wydawała się tak nużąca, gdy wtórowała jej melodia pogodnej, harcerskiej piosenki. Takie życie zbiorowe wpłynęło dodatnio na kształtowanie charakterów dziewczynek. Nawet największe mruki i to poczuły się wkrótce swojsko i dobrze.

Wogóle spędzanie czasu czy to w obozach, czy na kolonjach zalicza się do najprzyjemniejszych chwil w życiu młodzieży. Wiele uczy i daje dużo wrażeń, hartuje zdrowie i pozwala przebywać na świeżym powietrzu.

Czy nie byłoby zatem pożądane urządzenie kolonji letnich dla dziewczynek z gimnazjum,

które nie mogą wyjechać z miasta, gdyż rodzicom nie pozwalają na to warunki materialne.

Czas byłoby o tem zawczasu pomyśleć, aby móc zebrać odpowiednie fundusze.

Stanisław Piekarowicz (Grajewo G.M.K.).

Cieniom ś. p. profesora Jana Lorenca.

Zgasł jako ta wiosna — zmrożona lodowem technieniem, jako ten uśmiech spłoszony troską i trwogą, i pozostało po nim jeno wspomnienie . .

Od lat siedmiu przeszło — był zawsze z nami. Jako profesor — jako wychowawca, zawsze miał w naszych duszach to wielkie umiłowanie pracy swej, swego obowiązku, któremu w ofierze składał swe zdrowie, młodość i duszę.

Zaszczytów nie pragnął, bo duszą całą nienawidził tych ludzi, którzy gonią za próżną i czężą sławę . . ale rozumiał, że im kto większy urząd piastuje, tem większy dług zaciąga względem Ojczyzny i tem więcej powinien poświęcać się dla ludzi i zawodu.

To też, gdy zostaje kierownikiem naszego gimnazjum, całą swą energję włożył w pracę dla dobra zakładu. Poza pracą zwykłą — profesorską, spędzał kilka jeszcze godzin wieczorem wśród zajęć kancelaryjnych i kładł się dopiero późną nocą . . a i wtedy jeszcze, gdy sen osiadał mu na znużonych powiekach, troska o dobro powierzonych pieczy jego uczniów, nie opuszczała go na długo. Brzask ranny zastawał go gotowego już do nowych trudów.

Pierwszy jawił się na powierzonej mu placówce, ostatni opuszczał ją . . Często skarżył się, że nie może podołać pracy, że urząd piastowany przez niego, przechodzi jego siły, ale przecie nigdy nie oszczędzał siebie, a gdy mu ktoś zwracał uwagę by oszczędzał swe zdrowie i siły, wzruszał wtedy ramionami i z dziwnym, troskliwym uśmiechem mówił: „No dobrze, ale któż w takim razie robi to wszystko za mnie”.

Pracował dalej . . choć serce zmęczone zamierało mu w piersi.

Ale siły jego zawiodły wreszcie go, złożony ciężką boleścią, mimo rozpaczliwych wysiłków, już więcej z tego łoża śmierci nie powstał, aż dopiero oddechem grobu zwabiony przeniósł się z niego na inne . . kryte wezglowie Bożej miłości . .

Był z nami od pierwszej klasy, ustawicznie łudząc się tą nadzieją, że doprowadzi nas do

matury, niestety! — marzenia jego nie ziściły się na dwa miesiące przed nią, musiał sam stanąć do egzaminu, ale przed okiem i majestatem samego Boga. Dziś już przy Jego boku, spogląda pewnie na opuszczoną ziemię, i dziwi się, że mógł ją opuścić, że go tam nic niezatrzymało . .

Na kilka dni przed zgonem, rozmawiał z zemną właśnie o naszej maturze . .

Dziwnie wyglądał wtedy, twarz powleczone trupią sinością, zwiastowała rychły koniec jego życia a jednak . . w oczach miał jakieś dziwnie ożywione błyski . . zdawał się zapalać jeszcze i rwać do jakichś planów . .

„Niech tylko wyzdrowieję — mówił — a da Bóg, wszystko pójdzie dobrze, matury nie macie się czego obawiać, grunt nie tracić pewności siebie”!

Śmierć zaglądała mu w oczy, a on bronił się przed nią zupełnie jakimś i nieledwie rozpaczą, żał mu było jeszcze życia, żał tych, z którymi tyle przeżył, z którymi żył nie jak profesor ale jak starszy kolega — przyjaciel; — smutek owiewał jego blade lica, ale gdy spostrzegł, że i czoła nasze zasępiają się, że i nas gniecie to straszne wspomnienie grobu . . mówić począł do nas łagodnie, jako ten ojciec do dziatwy . .

„Nie martwcie się, da Bóg, że wstanę, a wtedy . . tu głos mu uwiązał w gardle i na twarz wystąpiły krople potu . . cisza . . w pokoju w górze unosiło się coś złowrogiego, serca nam tłukły się niespokojnie . . a on mówił dalej — jeżeli zaś ja odejdę . . to Bóg was nie opuści i dopomoże . . pamiętajcie tylko byście byli uczciwymi, byście byli Polakami na każdym kroku życia . . nademną . . nie macie . . co płakać . . mnie tam będzie dobrze . . tak . . lepiej może . . niż tu na ziemi . .

Głos słabł mu i cichł, ale nie znać w nim było zwątpienia, ani rozpacz. Oczy z ufnością spoczywały na obliczu Chrystusa w cierniowej koronie, wiszącego nad łóżkiem.

Potem podał nam jeszcze rękę na pożegnanie mówiąc: „Do widzenia”.

O, Boże! czy on przeczuwał, że już za kilka dni stanie za grobem? Czy przeczuwał, że zejdzie z tego świata na zawsze? Do widzenia . . tak miał rację . . wszyscy z nim się niedługo może zobaczymy; przecie to życie takie krótkie jest w istocie, i „jak potok płynie w dal”, że naprawdę miał rację mówiąc nam; do widzenia . . ujrzymy się z nim, ale już na zawsze, gdzie nigdy tych słów powitania mówić nie będziemy . .

Gdy konał nie było przynim nikogo z rodziny . . bo tej nie miał już zupełnie, przy łożu jego osuwała tylko służąca — terycjarka kobieta siwiuteńka i jak anioł usługująca mu, że i matka lepiej rodzonaby nie potrafiła, oprócz niej kilka kobiet, kilku profesorów — kolegów i dwu — czy trzech uczniów — niebawem zaś pokój zaroził się od nich, widać usłyszeli, czy przeczuli może, że ich drogi profesor żegnać się z nimi nazawsze pragnie . .

Boże Ty mój! Jak to ogromnie przykro mu być musiało, skoro nie dojrzał nikogo ze swoich. O, to strasznie jest żyć bez rodziny. Straszne te Judymowe śluby . . z życia powstaje wtedy jeno boleść jedna wielka, a nie skończona, i niczem nie wypełniony żal do ludzi, żal do świata . . Ato jedno pytanie „dlaczego?”, musi pozostać bez odpowiedzi. W tej chwili, gdy patrzyłem jak konał . . poznałem całą wartość rodziny, i domu, gdzie ona żyje . .

Przeszedł przez to życie krótkie tak i niebogatę w wypadki, ale bogatę w przykłady dla nas — ścichi, jako ten jęk zerwanej struny harfianej, i w sercach naszych pozostawił smutek nieutulony, a żal ten głuchy i tępy . .

Pozostawił jednak po sobie ten twardy nakaz, byśmy rozpacz nie oddawali się wiecznie, lecz wzięli się tak jak on do pracy nad ciąglem ulepszaniem serc i dusz, nad rozjaśnianiem ludzkiej doli . . byśmy idąc w jego ślady, żyli — przedewszystkiem dla obowiązku i gdy przyjdzie potrzeba, to nawet i z życia naszego chętnie złożyli ofiarę obowiązkowi . . On rozstając się z nami nie kazał nam rozpaczać, ale żyć w pogodzie ducha a zarazem żyć jak najmniej dla siebie, a zato jak najwięcej dla Wiary, Narodu i Ojczyzny.

Oby duch Jego wszedł w nasze dusze, oby był zawsze z nami gdy będziemy coś budowali dla dobra kraju.

Cześć niech będzie jego pamięci — jego ceniom!

E. T. (Łomża G.Ż.M.K.).

Z ŻAŁOBNEJ KARTY.

Dnia 24 lipca 1926 r. w 45 roku życia, zmarła ś. p. Stanisława Gregorjewówna — długoletnia nauczycielka państw. Gimnazjum żeńskiego im. M. Konopnickiej w Łomży. Urodzona w 1881 r. Od najmłodszych lat wychowywała się w Łomży. Rodzice Jej — ojciec prawosławny i Rosjanin, matka — katoliczka — tworzyli atmosferę, w której

zwalczały się rozmaite zwyczaje i poglądy, a w której przebywała ciągle ś. p. Stanisława. Już, jako dziecko, nieraz była zmuszona do zastanawiania się nad kwestją religji. Tu wpływ matki, dobrej katoliczki, okazał się większy i Stanisława Gregorjewówna, chociaż zapisana w państwowym Gimnazjum rosyjskiem w Łomży, jako prawosławna, nie mogła się z tem pogodzić. Duchem zawsze zdążała do religji katolickiej i starała się wyrwać z pod wpływu Moskali. Nie mogąc już dłużej postępować wbrew swoim przekonaniom, przeszła na katolicyzm, ukończywszy Gimnazjum w 1905 r. W tym samym roku objęła posadę nauczycielki matematyki i niemieckiego w prywatnej szkole p. M. Korzeniowskiej. W szkole tej oczywiście językiem wykładowym był rosyjski, lecz przełożona starała się — o ile możliwości — wychowywać młodzież szkolną w duchu polskim. Grono nauczycielskie zorganizowała z osób, których celem był opór przeciwko rusyfikacji. Wobec takich okoliczności ś.p. St. Gregorjewówna była bardzo pożądaną nauczycielką i wychowawczynią. Wywierała wielki wpływ na młodzież, jako przykładna katoliczka, osoba już doświadczona i patriotka. Jako nauczycielka przetrwała na placówce najście Niemców i gdy szkoła już swobodnie się rozwijała, a w 1919 r. została upaństwowiona i przekształcona na państwowe Gimnazjum żeńskie im. Marii Konopnickiej, miała za sobą już dużą praktykę. Była nauczycielką wymagającą, ale to nie przeszkadzało, że z uczennicami była w bardzo dobrych stosunkach, lubiana — zawsze otoczona gronem najmłodszych, ze starszemi wychowankami nie zrywała łączności, była im zawsze dobrą doradczynią i wpajała chęć do samodzielności. I te dorosłe, co już dawno ukończyły szkołę i pracowały same na siebie zawsze pamiętały o swojej ukochanej nauczycielce i były wdzięczne Jej za pracę nad sobą. Nie zapomniały o Niej podczas Jej długiej i ciężkiej choroby. A gdy opuściła na zawsze swoje wychowanki, zapanowało wśród nich przynębiające wrażenie. Tyle osób wyrażało żal nad stratą tak dobrej nauczycielki.

Jak Ją kochano i ceniono, można się było doskonale przekonać, widząc ten tłum ludzi, (w którym, jak na wakacje uczennic było bardzo dużo) idących poważnie za trumną z przynębieniem, wyrytem na twarzach — dość było spojrzeć na trumnę, zarzuconą kwiatami, a później na mogiłę, glnącą w wieńcach i wiązankach.

Wspominajmy Ją zawsze z czcią i niech pamięć o Niej nie zaginie.

Recenzja.

Dnia 27-IX 1926 r. staraniem Akademickiego Koła Łomżan odbyła się w sali Gimnazjum Żeńskiejgo akademja, ku czci ś. p. J. Kasprowicza.

Na całość złożyły się: odczyt p. prof. Dembowskiego, deklamacje p. H. Stypułkowskiej, p. Markiewiczówny i p. prof. Wojtulewicz, gra na fortepianie p. Gerwinówny i śpiew p. I. Skiwskiej.

Ci, którzy nie znają utworów Kasprowicza, mogli powziąć pewne o nich pojęcie z odczytu p. prof. Dembowskiego, który pozwolił, jak sam się wyraził, aby „wieszcz mówił za siebie” i ograniczył się tylko do objaśnień w tłumaczeniu utworów.

Zbyt głębokie i szczegółowe ujęcie, które wyływało z chęci dania jaknajwięcej wiadomości słuchaczom, wpłynęło jednak niekorzystnie na całość odczytu, gdyż nie pozostawiło w umyśle jasnego i skonsolidowanego obrazu twórczości Kasprowicza.

W głosie p. Skiwskiej znać wykszolenie, lecz nienaturalność mimiki i ruchów psuje całość.

Wielkie wrażenie wywarła recytacja Hymnu „Święty Boże, Święty Mocny”, wygłoszona przez p. prof. Wojtulewicz. Wspaniała modulacja głosu nadawała mu odpowiedni ton — to żalu — to bólu — to znów głuchego krzyku zbuntowanej duszy.

Równie dobrze wypadła deklamacja p. H. Stypułkowskiej, gdyż jej głos, sam przez się, ma wielką skalę tonów szczególnie cichych, miękkich i subtelnych. O deklamacji p. Markiewiczówny trudno sądzić. Była wypowiedziana zbyt prędko i zbyt cicho.

W grze p. C. Gerwinówna zaznaczyła technikę, zdobytą pracą, lecz brak było uczucia. Szczególniej zaznaczyło się to w pierwszym utworze.

Może to jednak należy przypisać zbyt niemu zdenerwowaniu.

Całość wypadła zupełnie dobrze. Publiczność jednak łomżyńska, szczególnie starsza, okazała duży brak zainteresowania swoją nieobecnością — a szkoda!

KRONIKA.

ŁOMŻA. Gimnazjum męskie im. T. Kościuszki. Wszystkie „Związki”, „Koła” i „Kółka” na terenie naszego gimnazjum dopiero organizują się i w najbliższym czasie rozpoczną swoją pracę normalnie.

Pracę organizacyjną rozpoczęła najpierw Sodalicia Marjańska, zebraniem Konsulty (za-

ządu) w dniu 18 września 1926 r. Były zarząd Sodalicii na czele z ks. Moderatorem Perkowskim ułożył plan pracy na bieżący rok szkolny 1926/27. Pierwsze zebranie ogólne organizacyjne członków Sodalicii Marjańskiej odbędzie się w niedzielę dnia 26 września 1926 r. o godzinie 10 rano, na którym odbędą się zapisy nowych członków, jako aspirantów i załatwione będą inne sprawy administracyjne. Zarząd Sodalicii pozostanie prawdopodobnie ten sam i dla jednostajności pracy, i dlatego, że wszyscy członkowie Zarządu pozostają jeszcze w gimnazjum i mogą sprawować swoje czynności.

Koło Humanistów rozpoczęło swoją działalność zebraniem organizacyjnym dnia 19 września 1926 r. w obecności p.p. profesorów Lubowidzkiego i Tyrki, opiekunów Koła. Wybory nowego Zarządu dały następujące rezultaty: prezes Koła — J. Dygnarowicz VIII-b, wiceprezes — J. Jabłoński VII-b i sekretarz — K. Wiszniewski VII-b.

Zaraz po wyborach sekretarz przeprowadził spis obecnych na zebraniu, jako członków Koła, a b. prezes Koła p. W. Sokorski w krótkich słowach zobrazował działalność Koła Humanistów w roku zeszłym 1925/26.

Pan prof. Lubowidzki w swem przemówieniu podał pewne wskazówki, co do działalności Koła, jednocześnie zachęcając członków i Zarząd do pracy i podkreślając jej znaczenie i wartość. Obowiązkiem każdego z członków jest wygłoszenie conajmniej jednego referatu w ciągu roku.

Najbliższy referat ma wygłosić kol. Żochowski VIII-b p. t. „Tragedja narodu polskiego w utworach Wyspiańskiego”.

Początek roku w Hufcu P. W. № 1 przy G. T. K. Z niezwykłą dotąd, ścią żołnierską sprężystością i pragnieniem pracy rozpoczynamy nowy rok, czwarty na łomżyńskim gruncie, w Hufcu P. W. № 1. Ubiegłych lat przygotowawcze, organizacyjne zbiórki odbywały się w 3—4 tygodnie po rozpoczęciu roku szkolnego, teraz zaś równocześnie z zajęciami w szkole.

I to odrazu! z werwą! Karabin do ręki, czwórki . . . i maszerować.

Plac przy stacji kolejowej dość obszerny, względnie równy, (narazie, t. j. od 3 lat, Magistrat szacownego grodu nie zdążył jeszcze odpowiedniego placu wyznaczyć, bowiem Hufce w wybredny sposób odmawiały wspaniałomyślnie ofiarowane, a wodą przesiąknięte „pulwy” i niezrównane wonne

Wschodem (czyt. cebulą) przestrzenie na Rybakach teren gdzie niegdzie porosły, odbrzmiewający pod uderzeniami nóg.

„Do dwunastu . . . !” — i długa linja dwuszeregu łamie się na cztery oddziały, poczynające naukę od tego, że karabin składa się z drzewa i stali i, że „Na ramię broń” robi się na cztery tempa.

Mój oddział składa się z samych nowicjusów, takich ot! młodziutkich kolegów, którzy ciągle muszą oglądać broń i opuszczać cyngiel. Jakżeż tego nie robić — to tak ciekawe! I pomimo to, że dziś pierwsze ćwiczenia, oko oceni z kogo można będzie mieć pociechę, a kto ciągle będzie brać karabin na prawe ramię! Mówię o tem z instrukcyjnym podoficerem, który mi oświadcza: „Panie, do tego to się ma dryg, albo nie! Bez tego ani rusz!”.

Prawda, myślę pocichu, „dryg”, czy też nie „dryg”, ale takie coś musi być, „Prezentuj broń!” — „Na prawo patrz!” elektryzuje jak grom, szcęk karabinów, główki „jak na sznureczku” (instruktorskie), chłopcy ćwiczą się, bo za tydzień, w sobotę, capstrzyk, a nazajutrz 26-go przegląd i defilada! Pierwszy lub czwarty popis początku służby orlej, bojowej, młodzieży.

Jak dla kogo! . . .

Kronika Koła Sportowego przy G.T.K.

W dniu 18 września odbyło się I zebranie Zarządu K. Sp. na które przybył kierownik wych. fizycznego p. Dworski.

Zastanawiano się nad dalszą egzystencją K. Sp. Sytuacja jest bardzo poważna, gdyż brak wykwalifikowanych instruktorów, odbił się dotkliwie na życiu sportowem.

P. Dworski obiecał wyszkolić nowych instruktorów, oraz jako opiekun K. Sp. zapewnił swą współpracą nad ćwiczeniem młodzieży zdrowej i karnej. Treścią następnego zebrania zarządu w dniu 19 b. m. była kwestja odznak dla K. Sp. W toku dyskusji zaznaczono, iż odznaki otrzymają ci sportowcy, którzy mają za sobą minimum rok pracy w K. Sp. Za mozołną, lecz miłą i owocną pracę na niwie sportowej, b. kol. sportowców uchwalono obdarzyć odznakami K. Sp. Dnia 21. IX. 26 r. odbyło się zebranie organizacyjne K., Zarząd ukonstytuował się w następującym składzie:

Prezes: kol. Marjan Zarzecki.

Vice-prezes: kol. Jerzy Perzanowski.

Gospodarz: kol. Stanisław Jarocki.

Sekretarz-skarbnik: Stanisław Kulesza.

Zebranie organizacyjne uchwaliło pewne zmiany w statucie. Mianowicie: I Zniesiono komisję rewizyjną. II Uchwalono składkę miesięczną w wysokości 10 gr. III Każdy członek musi się bezwarunkowo zaopatrzyć w legitymację. Praca w K. Sp. z przyczyn od K. niezależnych rozpocznie się po 20 października. Spodziewamy się, że liczne zapisy wzmocnią szereg sportowców i ochoczo też zabieramy się do pracy. Czy wysiłki będą owocne zobaczymy na „popisie”.

ŁOMŻA. Gimnazjum Żeńskie im. Marji Konopnickiej. Wszystkie organizacje, istniejące na terenie Gimnazjum — w roku 1925/6, w liczbie 20-tu, jednoczą się pod nazwą „Spółdzielni szkolnej”, zamykającej w swym obrębie 6 głównych działów: I. Samorząd gmin klasowych; II. Samopomoc koleżeńska; III. Dział Oświatowy; IV. Dział gospodarczy; V. Dział — harcerstwo; VI. Dział — towarzystwo — sportowy i artystyczny.

Wobec działalności licznych organizacji samorząd gmin klasowych ograniczył się do dozoru nad porządkiem poszczególnych klas.

Zarządy tych działów zrobiły tyle dobra dla ogółu, ile mogły.

Samopomoc koleżeńska urządziła loterię fantową w celu zdobycia funduszu na pomoc materjalną, zajęła się urządzeniem choinki i udzieliła korepetycji dwu niezamożnym koleżankom i wskazała korepetycje uczennicom klasy VII i jednej uczennicy kl. VI.

W dziale oświatowym koło polonistyczne przygotowało, następujące referaty: 1) Idee Słowackiego w „Śnie srebrnym Salomei”; 2) Idee Słowackiego w „Księdzu Marku”; 3) „Książę Niezłomny”, jako dramat calderonowski; 4) Główne problemy i technika dramatu Wyspiańskiego w „Meleagrze”; 5) Kwestje społeczne i polityczne w „Przedwiośniu” Żeromskiego.

Koło historyczne miało 4 referaty.

Koło krajoznawcze prowadziło bardzo intensywną pracę, zbierając tablice statystyczne i starając się o podniesienie i zaopatrywanie gabinetu geograficznego. Za patrona koło obrało sobie Stanisława Staszica.

Czytelnia szkolna, zaopatrzona w 12 regularnie, przychodzących, czasopism, cieszyła się powodzeniem wśród uczennic.

W dziale gospodarczym: 1) Sklep miał obrót od 1264 zł. 90 gr. — do 51 zł. 78 gr.

Zmniejszenie dochodu w sklepie wypłynęło ze zmniejszenia potrzeb uczennic.

Czysty dochód roczny wynosi około 950 zł. Kasa pożyczkowo - oszczędnościowa wydała 84 książeczki, ogólny obrót wynosi 1.700 zł.

Koło malarek wymalowało: plafon do ozdoby auli gimnazjalnej, dekoracje do przedstawienia „Snu nocy letniej” — Szekspira, odbywało studia z natury, jak również kopjowało widoki znanych malarzy. W końcu roku szkolnego prace koła malarskiego były umieszczone na wystawie gimnazjalnej. Na tle „m a l u n k ó w”, członkinie wraz z przewodniczącym p. prof. Witkowskim sfotografowały się, aby mieć na przyszłość całokształt swojej całorocznej pracy.

Koło muzyczne odegrało przedstawienie w gimnazjalnym teatrzyku, z którego dochód w sumie 300 zł. został przeznaczony na odbudowę estrady w celu polepszenia akustyki. Klasa VII odegrała „Sen nocy letniej” — Szekspira.

W marcu 1926 roku odbył się koncert, głośnej w Warszawie pieśniarki p. Argasińskiej, przy akompaniamencie pr. Lefeldy. Całkowity dochód z koncertu, jak i z przedstawienia „Snu nocy letniej”, przeznaczono na kupioną już, na własność gimnazjum, lampę kwarcową, aby chore, anemiczne, zagrożone gruźlicą uczennice mogły korzystać z niej na miejscu.

Koło tenisistek, posiadające własne rakiety i piłki, liczy przeszło 80 członkiń, czynnych i cieszy się wielkim uznaniem i powodzeniem wśród grających.

* * *

W roku szkolnym 1926/27, jak dotąd nie-uruchomione są jeszcze wymienione organizacje za wyjątkiem sklepu spółdzielni szkolnej uczennic. Do dnia 22-IX ogólny obrót wraz z antykwarnią w sklepie wynosi około 1400 zł.

GRAJEWÓ. Państw. Gimnazjum koed. im. M. Kopernika Pierwsza matura w Grajewie. Pierwsza matura w naszym Gimnazjum wypadła bardzo pomyślnie. Wszyscy abiturjenci w liczbie 23 otrzymali świadectwa dojrzałości. Że tak się stało, zawdzięczać tu można przede wszystkim solidnej pracy tej ostatniej klasy. Zresztą o takich rzeczach wówi się o tyle, o ile, ale jak najmniej na łamach pisma i wogóle publicznie.

Uroczystość z okazji tej tak ważnej chwili, w dziejach naszego miasta nie miała charakteru czegoś nadzwyczajnego, o czym się pisze i pisze.. była to uroczystość taka sobie zwykła, ale przecie każdy z nas maturzystów pamiętać ją będzie. Był także obecny, wtedy p. Kurator i osobiście

wręczał nam świadectwa świadczące o naszej dojrzałości . . . chociaż . . . i tak człowiek był już dojrzały . . . no ale co na piśmie, to na piśmie.

Jako pamiątkę po nas zostawiamy w gimnazjum ogólny portret wszystkich maturzystów wraz z p. p. profesorami.

W dniu 23 czerwca na ostatnim (p) zebraniu Gminy szkolnej naszej klasy, wówczas już maturzystów, powzięliśmy następującą uchwałę podpisaną przez wszystkich, kolegów i koleżanki ustępujących z gimnazjum. Treść jej w dosłownym jej brzmieniu, tak jak została ona uchwalona i pomieszczona w kronice naszej klasy, podajemy niżej.

Uchwała. Kończą się już nasze młode lata szkolne; dziś oto po raz ostatni gościmy w obrębie murów szkolnych jako uczniowie.

Otrzymaliśmy świadectwa dojrzałości, które mają być wyrazem naszej kilkuletniej pracy.

Dziś z tych murów szkolnych, po raz ostatni już wydobywa się na świat głos nasz młody. Za chwilę będzie tu pusto i głucho i pozostanie jeno ciche, martwe wspomnienie po nas, żeśmy tu kiedyś byli, żyli i wychowywali się.

Zakończyliśmy rok szkolny pomyślnie, czoła nasze owiewa nie smutek, lecz radość, że oto wstępujemy w czynną służbę dla Ojczyzny i Narodu.

Odchodząc jednak stąd zaciągamy olbrzymi dług, dług podwójny: rząd nasz, łożył na nas pieniądze, nasi profesorowie dawali nam swą pracę i życie, — musimy im ten dług spłacić.

A więc też dziś, gdy stajemy u rozstajnych dróg, postanawiamy, że w całym przyszłym życiu naszym będziemy zawsze tylko Polakami, a być Polakiem; „to żyć bosko i szlachetnie”.

Pamiętamy, że Ci co nas uczyli i wychowywali, spodziewają się od nas bardzo wiele. Bo przysięgamy im więc, że serc, naszych dusz nigdy nie oddamy szatańskim wyznawcom na służbę, ale Bogu i Ojczyźnie, że życie nasze do nich jedynie należyć może.

Odchodząc więc stąd, składamy hołd pracy naszych najdroższych Profesorów, składamy hołd ceniom tych, co musieli zejść ze swych placówek, powołani przez Boga na służbę wieczną i legli już w grobach.

Będziemy zawsze i wszędzie to tylko mieli na względzie, by im i Ojczyźnie naszej, nigdy nie zrobić zawodu, będziemy zawsze takimi jakimi oni pragnęli nas widzieć

Nie stracimy nigdy łączności z naszą ukochaną szkołą, a jako zapewnienie tego i stwierdzenie, postanawiamy zjechać się po latach 10 t.j. w r. 1936 w Grajewie, a wtedy zobaczymy czyśmy naprawdę byli siewcami tych haseł, któreśmy w dniu dzisiejszym powzięli i któreśmy z tej szkoły wynieśli.

Grajewo dn. 23 VI-1926 r.

Tu następują podpisy obecnych na zebraniu kolegów i koleżanek.

OSTRÓW - MAZOWIECKI. Gimnazjum Koedukacyjne. Nieścistość czy blaga? W № 3 „U PROG U” ukazało się sprawozdanie z matchów piłkarskich drużyny ostrołęckiej „Kurp” rozegranych między innymi i z „Ostrowianką”. Z powodu tego właśnie sprawozdania pragnę dać tutaj kilka wyjaśnień.

Wychodzę z założenia, że informowanie szarego ogółu o działalności jakiegokolwiek organizacji nie powinno nigdy mijać się z faktami, a tem samem z prawdą. Przekręcanie bowiem faktów nie tylko źle świadczy o ich sprawozdawcy, lecz nawet ujemnie wpływa na poczytność pisma, w którym są zamieszczane.

Niestety nie zdawał sobie widocznie z tego sprawy kol. Maliszewski w swym art. p. t. „Od zwycięstw do upadku”, zamieszczając kilka szczegółów niezgodnych z prawdą.

Zastrzegam się z góry, że jestem daleki od chęci osłabienia w oczach ogółu autorytetu drużyny ostrołęckiej, o wyniesienie której chodziło widocznie autorowi artykułu.

W imię jednak prawdy czuję w obowiązku udzielić wyjaśnień. Drużyny: „Kurp” (o której pisał kol. Maliszewski) i „Ostrowianka” rozegrały wszystkiego trzy match'e. Pierwszy, jesienią 1924 r. dał faktycznie wynik 2 : 0 na korzyść „Kurpia” ale na jakiej podstawie twierdzi K. Malinowski, że „przygniatająca przewaga” była po stronie zwycięzców — nie wiem. W danym wypadku według ogólnie przyjętej zasady opinję o przewadze drużyny wydaje sędzia, a nigdy biorący udział gracze.

Na match'u tym ja sędziowałem i stwierdzam, że wygrana ta była jedynie, że tak powiem, „fuksem” jeden bowiem goal padł z karnego, drugi z wyłącznej winy bramkarza „Ostrowianki” który zlekceważył idący do niego powoli „szczur”.

O drugim match'u remisowym (1 : 1) w dn. 10. V. 1925 r. (przy kornerach 4 : 3 na korzyść „Ostrowianki”) kol. M. widocznie rozmyślnie przemilczał.

Najgorzej przedstawia się sprawozdanie z trzeciego match'u, z dnia 20. IX. 25 r.

Wynik i przyczyny przegranej „Kurpia”, są wprost tendencyjnie sfantanzjowane, bo nie 2 : 1 jak podaje autor, a 2:0 na korzyść „Ostrowianki”. Co do przewagi pojedynczych graczy (a gdzież przewagi tego rodzaju w ostateczności niema?), uważam za dostateczne przytoczyć dosłownie opinię pana profesora historii w Ostrołęce, sędziego na tym match'u, wyrażoną piśmiennie w protokolarzu „Ostrowianki”. Drużyna wykazała zupełnie poprawną grę, oraz bezwzględną przewagę nad „Kurpiem”, bijąc drużynę ostrołęcką „Kurs” dwa do zera (2:0).

Nie osiągnął więc kolega Maliszewski zamierzonego celu, przeistaczając bowiem fakty z match'ów z „Ostrowianką” tem samym poddaje w wątpliwość czytelnika wiarygodność reszty faktów, zamieszczonych w omawianym artykule „laurach” piłkarskich „Kurpia”.

Mała rzecz, a wstyd!

Od Redakcji.

Wyrażamy głębokie podziękowanie za owocną i całoroczną pracę na łamach naszego pisma b. członków redakcji, obecnym p. p. maturzystkom i maturzystom.

Z ochotą przyjmujemy zaofiarowaną nam w dalszym ciągu współpracę i nie tracimy nadziei, że ten łącznik porozumienia między nami, a Wami, którzyście już opuścili szkołę, nie zatraci się. W ten sposób my będziemy poznawali Wasz nowy sposób myślenia, a Wy będziecie mogli przekonać się i sprawdzić tętno naszego życia szkolnego. Zaczynając nowy rok pracy „czynu” zwracamy się do Was wszyscy Koledzy i Koleżanki z prośbą, nie o współpracę, lecz o zrozumienie potrzeby wypowiedzenia swych myśli i uczuć.

Tak żywotne środowisko, jakim jest młodzież szkolna, musi dawać znać o sobie szerszemu ogółowi społeczeństwa.

Redakcja.

Z komitetu redakcyjnego.

Ze względu na wystąpienie z komitetu redakcyjnego b. członków obecnie p. p. maturzystów — skład jego zmienił się.

Od Gimnazjum żeńskiego im. M. Kopnickiej wchodzi: p. p. Kłosowska Wanda, Kiersnowska Janina, Tyszkówna Eliza — Wachowska Jadwiga.

Od Gimnazjum męskiego im. T. Kościuszki — p. p. W. Wandel i Dobkowski.

Od Gimnazjum im. X. Piotra Skargi — p. p. Cieśluk Henryk, Łada Jan, Ferenc Aleks., Malinowski Stanisław.

Redaktorką literacką pisma jest kol. W. Kłosowska.

Redaktorem technicznym jest kolega H. Cieśluk.

W skład administracji wchodzi kol. M. Waśniewska i kol. M. Szparkowski.

Od Administracji.

Prosimy uprzejmie Komitety redakcyjne czasopisma „U P R O G U” w Ostrowiu — Ostrołęce — Zambrowie — Grajewie — Kolnie o jaknajszybsze uregulowanie zaległości za numery poprzednie.

Uwagi dla piszących!

Przypominamy jeszcze raz, że artykuły nadsyłane do redakcji mają być pisane możliwie wyraźnie po jednej stronie arkusza, zaopatrzone w nazwę miejscowości — datę i nazwisko autora.

Artykułów anonimowych redakcja nie przyjmuje.

Rękopisów się nie zwraca.

Warunki prenumeraty: rocznie 5 zł. — z przesyłką 6 zł. Cena numeru pojedynczego 50 groszy.

Ceny ogłoszeń: 1/1 strona 40 zł.; 1/2 str. — 20 zł.; 1/4 str. — 10 zł.; 1/8 str. — 5 zł. Drobne 10 groszy za wyraz.

Wydawca: Zrzeszone Samorzady szkół średnich ziemi łomżyńskiej.